

# Metalliki ostry ton

*Paradoksy życia.*

*Zakopiańczycy mieszkający pod Giewontem jeżdżą na wakacje w inne góry.*

*Zakopiańczycy mieszkający w Alpach przyjeżdżają na wakacje pod Giewont...*

*Człowiek nie zawsze potrafi radować się tym, co ma w zasięgu wzroku. Irytująca prawidłowość, która wciąż się potwierdza, przynajmniej w moim życiu. Może to i dobrze. Odkrywanie, zdobywanie, podbój – to czynności wpisane w ludzką naturę. A przecież trudno podbijać własne podwórko...*

„**M**etallica”, jedna ze sławniejszych tatrzańskich ekstrem ostatnich lat. Nowa linia pokonująca jasne połacie monolitu wschodniej ściany Mnicha. Mocne uderzenie. Sześć wyciągów naprawdę *heavy*, każdy z nich otrzymał osobną nazwę zaczerpniętą z dyskografii trashowej grupy Metallica. Słusznie, gdyż większość z nich sama w sobie może stanowić wyzwanie dla parających się sportowym wspinaniem. Skomasowane trudności, sytość przechwytyłów, a przy tym wyjątkowa estetyka i finezja wspinania... Zaczyna się ostro. Na przekąskę bulderowe „Unforgiven” IX, dalej płytowe „Enter Sandman” VIII+, kluczowe

■ Prezent dla wytrwałych. Ostatni wyciąg „Metalliki”

„Nothing Else Matters” IX+, kosmiczny „Orion” VIII+, oddech na „One” VII i ostateczny test mocy na „To Live Is to Die” VIII+. Ale to tylko cyfry. A tu chodzi o coś więcej, o integrację, o mistykę, o święty granit na kultowej górze taterników.

Z opisu wynika, że wystarczy mieć komplet ekspresów, by przedrzeć się przez drogę. Opis nie precyzuje, że trzeba mieć także niezłą formę... Od razu przychodzi na myśl te niekończące się dysputy na temat tego, czy spitować, czy nie. Sama też byłam kiedyś po drugiej stronie barykady, uważając, że stałe punkty w górach, to zubożenie metafizyki przejścia. Jednak liczy się harmonia i zdrowy rozsądek. Ta droga jest wystarczająco poważna ze stałą asekuracją, bez niej istniałaby tylko jako nierealizowalne zamierzenie. W wielu miejscach nie da się założyć własnych punktów w litej ścianie. Czy można mówić o metafizyce, jeśli już z fizyką jest problem? Spity na „Metallice” są jak batyskaf w Rowie Mariańskim, choć i tak koledzy spod znaku Tatry z młotkiem nie mieliby co tam robić, nawet z ławeczkami i toną haków. Więc o co kruszyć kopie?

Oczywiście droga pozostaje poza i moim zasięgiem, no chyba że na drugiego. Świetnie się składa, Filip jak zawsze ortodoksyjny chce prowadzić wszystkie wyciągi – by czystości stało się zadość.

## Rekonesans

Wiemy niewiele, tyle, ile można było przeczytać, a także z bezpośredniej relacji Marcina Gąsienicy Kotelnickiego. Dla nas tak czy inaczej jest to *tabula rasa*, żadne nie wspinało się dotąd na wschodniej Mnicha. Tym większe emocje. Klimaty są braterskie, pod ścianę odprowadzają nas Hania i Władek, którzy później krążyć będą wokół Mnicha jak dwie czujne kozice. Gdy przebieramy się, by wejść w Dolne Mnichowe Półki, nadchodzi Andrzej Marcisz, kustosz ściany. Dzięki jego precyzyjnym instrukcjom zjeżdżamy bezpiecznie tam gdzie trzeba, bez niepotrzebnych poszukiwań (wypity na półkach Red Bull nie dodał nam skrzydeł – do zjazdu trzeba było użyć liny).

Już po próbie na „Unforgiven” wiadomo, że droga dziś nie padnie, a możliwe, że nie padnie w ogóle. Jest trudno, poza tym Filip z zasady dyszy nienawiścią do każdego wykutego chwytu, a kluczem do sytego bulderu jest sztuczna krawądką. Ciężki początek, wydaje się, że to droga nie dla nas, jednak każdy kolejny wyciąg cza-

ruje coraz bardziej. Jakaś magia. Nie zniechęcają ani zimno, ani rosące wraz ze zmęczeniem trudności. Filip zapomina także o zniechęconym chwycie. Nie używam „malp”, żeby mieć choć szczątkową frajdę z przemieszczania się po trudnych ruchach. Na ostatnim wyciągu ciężar plecaka, którego z racji dużego przewisu nie dało się wyciągnąć, dobija mnie ostatecznie. Wykończeni wracamy do domu.

Następnego dnia budzę się i nie mogę przestać myśleć o wschodniej Mnicha. Nigdy nie wsłuchiwałam się w utwory Metalliki – teraz z wypiekami na twarzy buszuję po *You Tube*, wyławiając wszystkie kawałki związane z przejściem. Czar nie pryska. Pytam Filipa, kiedy wracamy, po prostu czuję, że musimy to zrobić. Nie widzę na jego twarzy entuzjazmu i wtedy dociera do mnie, że to jest naprawdę duże wyzwanie. Chwilę później także i on łapie bakcyła – zaczyna wierzyć, że to możliwe. Mamy zaledwie dwa dni na odzyskanie sił i na przygotowanie się do decydującego starcia. To jedyna szansa, czas goni, za niecały tydzień muszę wracać w Alpy.

## Unforgiven

*Through constant pain disgrace*

*The young boy learns their rules (...)*

*The young man struggles on and on  
he's known*

*A vow unto his own*

*That never from this day*

*His will they'll take away*

\* \* \*

*Poprzez ciąg upokorzeń*

*młody człowiek uczy się reguł gry (...)*

*Śpiewa Metallika,*

*lecz oto młody człowiek*

*dorasta i uwalczy,*

*przysięga też sobie,*

*że nigdy już od tego dnia*

*nikt nie odbierze mu woli*

22 czerwca, jeden z najdłuższych dni w roku, prognozy doskonałe. Ruszamy w nocy z Zakopanego. Już o 6.30 jesteśmy pod ścianą, słońce, mocny wiatr i jakiś inny zespół. Tak wcześniej? Dochodzimy pod trawers. Jeden ze wspinaczy zniknął za przełamaniem, ale drugi jest jeszcze na stanowisku. Pytam, co chcą robić. Na wschodniej Mnicha jest kilkadziesiąt dróg, może nie będziemy sobie przeszkadzać... – Metalliku. Vedla Metalliku. Psiakość! Fajnie się składa. Tylko dwa zespoły w ścianie i oba na tej samej drodze... Trudno. Jesteśmy drudzy, czekamy więc spokojnie na naszą

kolej. Podczas gdy zjeżdżamy z Dolnych Pólek do podstawy pierwszego wyciągu, Słowak już przystawia się do „Unforgiven”. Pełne emocji okrzyki pozwalają się domyślać, że prowadzenie jest w zaawansowanym stadium. Na ostatnich metrach Filip, znajdujący się powyżej, pokazuje mi małe chwytaki, dodając z uśmiechem – „ale ręki ci nie podam”. Potem wymieniają kilka zdań. Okazuje się, że sprawa wygląda trochę inaczej, niż wynikało z relacji jego partnera. Próbuje „Misterium nieprawości” przedłużone o dwa dolne wyciągi „Metaliki”, czyli nową kombinację. Czystą „Metalikę” ma już za sobą – zrobił ją dwa lata temu *flashem*... Już wiemy, o kogo chodzi – to Jožo „Usatek” Krištoffy, dobrze zapowiadający się słowacki wspinacz sportowy.

Teraz kolej na Filipa. Podczas pierwszej przystawki do najtrudniejszej sekwencji (dokonanej jeszcze podczas zjazdu) nierozgrzany palec strzela na wykutym chwycie i to tak głośno, że prawie płoszy kozice w Mnichowym Żlebie. Troczek szlag trafił! No to po wspinaniu... *Poprzez ciąg upokorzeń młody człowiek uczy się reguł gry*. Czyżby metaliczne prorocstwo? Filip ciągle ma problemy z palcami. Jego czas mierzy się od urazu do urazu. Może jednak da radę! Dalsza część utworu brzmi przecież bardziej optymistycznie: *od tego dnia nikt nie odbierze mu woli*... W końcu zjeżdża, masuje palec – nawet nie mamy plastra, by go wspomóc – wszystko zostało na Dolnych Pólkach. Nie poddaje się, bierze głęboki oddech i rusza do prowadzenia. Dochodzi do kluczowego ruchu i znów trzask! Drugi troczek! To niemożliwe... Schodzi do *no handu*, widzę, że jest w psychicznej rozpaczce... Krzycz – dasz radę, spróbuj jeszcze raz! I nagle, jakby nowym duchem prowadzony, mobilizuje się, przytrzymuje pechowej krawądką, skacze do obłej półki... i już po wszystkim. Drzwi do „Metaliki” stoją otworem.

## Enter Sandman

*And never mind that noise you heard*

*It's just the beast under your bed*

\* \* \*

*I nie zważaj na hałas, który słyszysz*

*To tylko bestia pod twoim łóżkiem*

Trzy dni wcześniej Filip poprowadził ten wyciąg *on sight*, dziś bestia umysłu zaczęła go nękać, ruchy ma kanciaste, niepewne. Nie jest sobą. Odkrywa trudności, których wcześniej nawet nie zauważał. No cóż, świat nie jest już ten sam, minęły trzy

doby... Niejednokrotnie lepiej byłoby odciąć głowę, szkoda, że niesie to ze sobą aż tak poważne konsekwencje. Uspić myśli chociaż na moment. Zapomnieć się, zatańczyć. Teksty Metalliki mogłyby być tu pomocne... Muzyka daje moc. Szkoda, że nie umiem śpiewać, zanuciłabym mu: *nie zważaj na bałas niepewności, który słyszysz w twojej głowie, napieraj śmiało, wierz w siebie, to tylko bestia pod łóżkiem...* Jakoś jednak dochodzi czysto do stanowiska. Teraz kolej na mnie. Poprzednim razem przeszłam tę długość bez bloku, posiłkując się odrobinę jednym spitem. Dziś, subiektywne wrażenie, jakby ktoś zmienił dekorację. Mam łatwiej niż Filip, idę na wędkę, ale i tak dzieje się coś dziwnego, brak koordynacji, lekkości, weny – jakbym wspinając się tu po raz pierwszy.

Wiem, że moje zadanie jest inne: mam iść szybko, niekoniecznie bez wspomagania. Ale nie mogę odmówić sobie osobistego zetknięcia z metafizyką przechwyty. To nic, że lina zwisa z góry. Wspinanie na drugiego, pozbawione aspektu walki psychicznej, ma jednak inne zalety. Otwiera. Dodaje skrzydeł. Ubarwia rzeczywistość. Uczy. Usprawnia. I na drodze o trudnościach dziewiątkowych tyle musi mi wystarczyć.

## Nothing Else Matters

*Open mind for a different view  
And nothing else matters*

\* \* \*

*Otwórz umysł na odmienny punkt  
widzenia*

*I nic innego się nie liczy*

Dochodzę do Pótek, z których dwie godziny temu zjeżdżaliśmy do początku drogi. Słowacy już próbują trzeciego wyciągu. Dokonujemy niezbędnej prezentacji. Los związał nas w tym dniu ściśle i w końcu to akceptujemy – więcej – zaczynamy się lubić. Jožo, prowadzący całość, mówi całkiem niezłe po polsku z nastawieniem na „lacinę”... Początkowo wędną nam uszy, gdy klnie jak stary bosman, ale z upływem godzin zaczyna nas to śmieszyć. *Otwieram się na odmienny punkt widzenia.* Oskar sprawia wrażenie całkowicie zadowolonego, mimo że w zasadzie nie dotyka rękoma skały, za to jednoczy się z „małpami”. Ale do rzeczy. Przed Filipem najtrudniejszy wyciąg na drodze, klucz do sukcesu. Jego zaciętość mimo bólu palca coraz bardziej się wzmacnia. Dla niego w tym dniu *nic innego się nie liczy* – tylko zrobienie



fol. ze zbiorów FILIPA BABICZA

drogi. Wymieniają z Jożem patenty, ruchy są wyjątkowo finezyjne, nie da się „przyłożyć newtona” i wyjść, każdy centymetr jest okupiony zmaganiem z brakiem równowagi. Oczywiście nie ma mowy o schodzeniu do rysy na „Fereńskim”, co ponoć niektórym się zdarzało...

Słońce postanowiło wszystkich nas na wiór wysuszyć, cieszę się, że nie muszę w takich warunkach niczego prowadzić. „Usatek” bezskutecznie próbuje przejść wyciąg czysto, prawie topiąc się w nieprawdopodobnym upale. A my wzięliśmy ze sobą nawet puchówkę...

Słowacy ruszają dalej. Oskar zawiesza Filipowi nasze ekspresy, by choć trochę ułatwić mu zadanie.

Przychodzi czas prowadzenia. Słońce o dziwo opuszcza ścianę i robi się optymalnie. Napięcie sięga zenitu. Początkowy fragment, dzięki patentowi Jožo, Filip przechodzi pewnie, potem sprawnie pokonuje miejsce, którego najbardziej się obawiał, na dojściu do sławnej mikroryski. Zaplastrowany jak mumia egipska palec boli przeraźliwie na małych chwytach. Jeszcze kilka sytych ruchów i strzał do półki z ruszającym się kamieniem, przy akompaniamencie okrzyków, wiszących nad nami braci zza miedzy. Jest!

## Orion

*Utwór instrumentalny*

Ten wyciąg to jeden z głównych znaków zapytania. Trzy dni temu zacięcie pod okapem było kompletnie zalane, podobnie jak wyjściowa rysa, doprowadzająca do

■ Chwilowo jesteśmy całością. Na wierzchołku Mnicha. Od lewej Jožo, Filip, Iza i Oskar

opitego wodą Trawnika Starosty. Uniemożliwiało to klasyczne przejście. Dziś trochę lepiej, mokrych jest tylko kilka chwytów, w tym niezbędny do przejścia obły odcąg. Filip zużywa cały woreczek magnezji, by go osuszyć, niestety już po chwili robi się tam szare, potwornie śliskie błotko.

Czeka nas próba wiary. Tu potrzeba nie tylko siły i techniki. Tu skrzydeł trzeba. Kiedyś często nawiedzał mnie sen o lataniu: unosiłam się swobodnie ponad łąkami, wzgórzami, wioskami, moim paliwem była pewność, spokój, ale gdy tylko pojawiały się choćby strzępki zwątpienia, czy to, co robię, jest normalne, zaczynałam spadać. Myśli destrukcyjne odbierały umiejętność lotu.

Wyzwania budują most między materialnym a niematerialnym. Energia silnej woli, wyłaniająca się nagle spoza czasu i przestrzeni dokonuje zmian w rzeczywistym świecie. Chcenie to Coś, co nie ma formy, wpływa na ciało, na mokrą skałę, na „stawianie się”.

A więc trzymać umysł wysoko, pozwolić mu na latanie, uwierzyć i zrobić to.

Cisza. Nawet wiatr zamarł. Granit ani drgnie. Melodia mgieł i dreszcz nieznanego. Niepewność. A potem już konkrety. Muśnięcia, przytrzymania, przysiady pełne muszej gracji, ruchy jaszczurze, sapnięcia i kropla wody spadająca dziwnie wolno spod okapu. Czas się zatrzymał. Jak dobrze. Jak

pięknie. I nagle czardasz, skrzypce, go-  
rączka, bo zbliża się koniec. Czysta muzy-  
ka, żadnych słów. Droga do gwiazd, *Orion*.

## One

*I can't remember anything  
Can't tell if this is true or dream*

\* \* \*

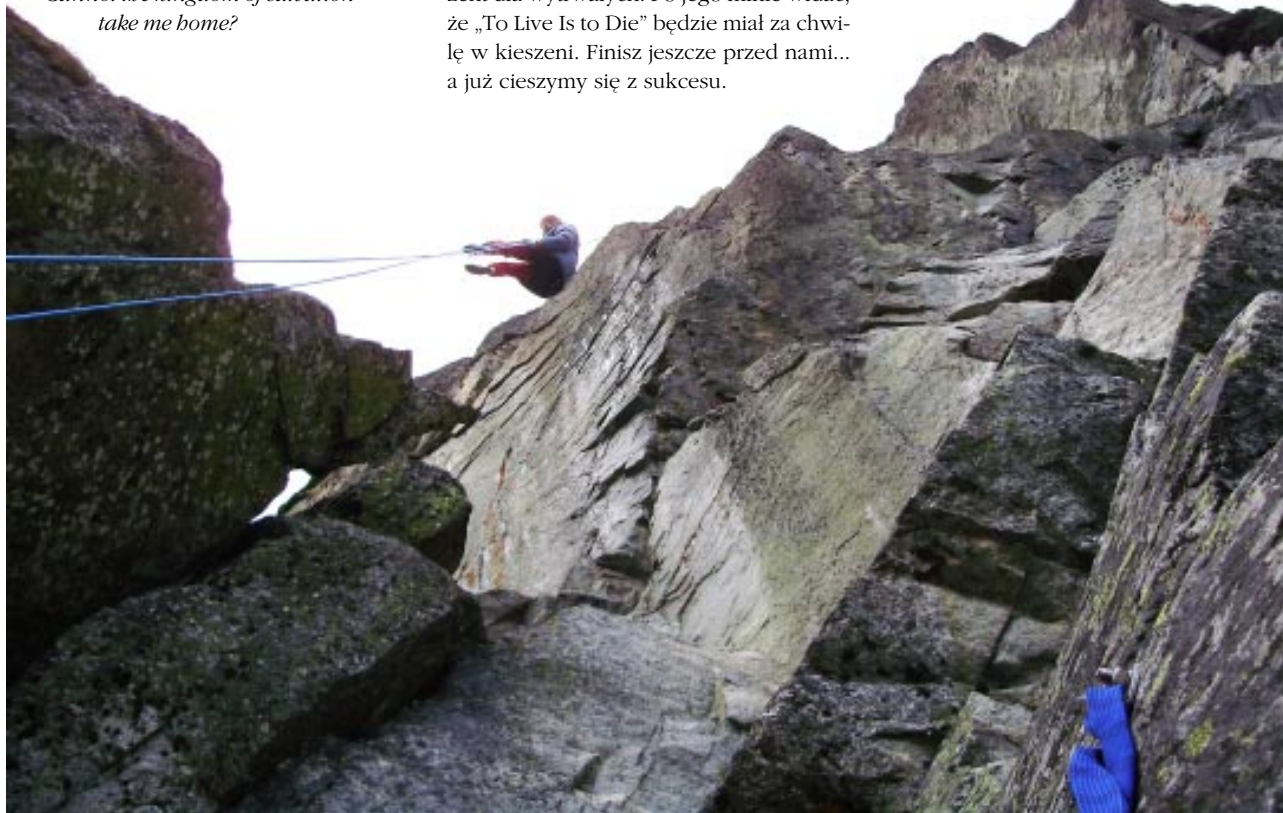
*Nic nie pamiętam  
nie wiem, czy to jawa, czy sen*

Robiąc ten wyciąg, myślami jest się już  
na następnym, tam gdzie kończy się wszyst-  
ko. Trudno uwierzyć, że dotarliśmy tak  
wysoko, nic nie zapowiadało, że się uda.  
*Nie wiem, czy to jawa, czy sen...*

Jednak pod stanowiskiem Filip musi  
skoncentrować się na tu i teraz. Role się  
odwracają. Tym razem Jožo, który jest już  
na Półce z Jałowcem, wskazuje mu nieco  
schowane chwytty i mówi z uśmiechem: –  
ale ręki ci nie podam! To już było. Powrót  
myślą do „Unforgiven”. Klamra spinająca  
dzisiejszy dzień. Jedność. Bycie razem w  
tym samym miejscu, w sytuacji trudnej, w  
opalach scala, cementuje. Tego dnia my i  
nasi słowaccy bracia stajemy się trochę jak  
jeden organizm, *One*, wspólnota pulsuje.

## To Live Is to Die

*Cannot the kingdom of salvation  
take me home?*



fol. FILIP BABICZ

\* \* \*

*Czy królestwo zbawienia  
nie może mnie zabrać do domu?*

Zmęczenie, ale nie można odpuścić.  
Za nami już zbyt wiele. A to, co przed  
nami to bynajmniej nie tylko formalność.  
Trzy dni wcześniej byliśmy do tego stop-  
nia wykończeni, że Filip nawet nie próbo-  
wał ruchów. Jožo, pytany o patenty man-  
truje jedynie, że tam trzeba się „sprężyć”.  
Bóg jeden wie, co to oznacza...

Na Półce z Jałowcem, ja i Oskar, dwa  
„samobieżne asekuracyjne przyrządy”,  
wymieniamy spojrzenia, pełne nadziei na  
rychły koniec. Ale nie ma tak dobrze. By-  
cie cierpliwym to ważna umiejętność. Nie  
jestem w tym mistrzem. Już prawie wita-  
my się z gąską... To „prawie” ma jednak  
duży ciężar gatunkowy. Nad nami kopuła  
szczytowa Mnicha. Do gąski brakuje tylko  
dwudziestu pięciu metrów, choć jeśli-  
by wyrazić się precyzyjniej, to od gąski dzieli  
nas dwa i pół tysiąca centymetrów trud-  
nego terenu. *Czy królestwo zbawienia nie  
może nas zabrać do domu?*

Filipowi wreszcie udaje się poznać  
wszystkie ruchy i... niespodzianka – jest  
nimi zafascynowany! Mówi, że ten wyjąt-  
kowej urody wyciąg to prawdziwy pre-  
zent dla wytrwałych. Po jego minie widać,  
że „To Live Is to Die” będzie miał za chwi-  
lę w kieszeni. Finisz jeszcze przed nami...  
a już cieszymy się z sukcesu.

\* \* \*

A potem szczyt. Znów razem, we  
czwórkę. Choć tego nie planowaliśmy, to  
jakiś wielki Ktoś postawił między nami, w  
ten długi czerwcowy dzień, znak „dodać”.  
Chwilowo jesteśmy całością, wraz z wierz-  
chołkiem Mnicha tworzymy zwartą kon-  
stelację. Mało tu miejsca. Słońce zachodzi,  
robimy zdjęcia i ruszamy w dół. Jožo i Oskar  
wyposażeni są w czterdzieści parę metrów  
starej liny, więc zapraszamy ich do wspólnych  
zjazdów. Ma to swój głębszy wymiar,  
zjeżdżamy bowiem do miejsca, gdzie wcze-  
snym rankiem zaczęła się nasza wspólna  
podróż. Musimy Tam dotrzeć, by nasze  
drogi mogły się ostatecznie rozejść. *To live  
is to die, życie to umieranie* – także pięk-  
nych chwil, przyjaźni, wspólnego „tu i te-  
raz”.

Zaczyna padać. Przez krople deszczu  
przeświecają ostatnie promienie słońca cho-  
wającego się za Szpiglasowym. Nad Mor-  
skim Okiem tęcza. Ptaki zbierają się do  
snu. Nadchodzi noc.

IZA GRONOWSKA

■ Zjazd z Dolnych Pólek do podstawy  
pierwszego wyciągu